



Piotr Jakub Karcz

Drzewo Wisielców

Drzewo Wisielców

Piotr Jakub Karcz

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-046-4

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2019

*Niniejszą powieść dedykuję
mojej drogiej szwagierce
Kasi Kalinowskiej,
najszybszemu rewolwerowcowi w mieście...*

Prolog

Powietrze zafalowało. Całun gęstej mgły jakby nieco opadł, odsłaniając największe drzewo w okolicy, nad którym gromadziły się chmary ptaków.

– To Drzewo Wisielców – wyszeptała Amelia. Miała dwanaście lat, chociaż wyglądała na nieco starszą. – Wzywa nas, słyszysz?

– Proszę cię, uciekajmy stąd – powiedziała błagalnie druga z dziewczynek.

– Nie bój się! – odparła. W jej oczach nie było już ani odrobiny strachu. – Ja już niczego się nie boję.

– Wracam i ty też chodź ze mną – zaoponowała, chwytając dziewczynę za bluzkę. Tamta jednak oswobodziła się gwałtownym ruchem i pobięła w stronę drzewa.

W ręku jej rozmówczyni został tylko metalowy naszyjnik w kształcie hipnotyzującej spirali na zerwanym rzemyku.

Rozdział pierwszy

Siedemnaście lat później

Janczary to kilkunastotysięczne miasteczko usytuowane mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Warszawą a Poznaniem. Od czasu, gdy w 2012 roku poprowadzono autostradę A2 skutecznie omijającą wspomnianą miejscowość i nie wybudowano ani jednego węzła w promieniu najbliższych czterdziestu kilometrów, stopniowo zaczynało przeobrażać się w Prypeć tuż po katastrofie reaktora jądrowego w Czarnobylu.

Było jednak coś, co wyróżniało Janczary spośród innych miejscowości i pozwalało wyrwać jego mieszkańców na kilka dni z małomiasteczkowej stagnacji. Był to festiwal rockowy. Zdarzało się na nim znaleźć, oprócz podrzędnych kapel, prawdziwe perełki na skalę ogólnopolską. Był to również pewnego rodzaju zastrzyk dla miasta zarówno pod względem turystycznym, wizerunkowym oraz, przede wszystkim, handlowym.

Siedział w najwyższym punkcie jednej z wysokich trybun. Na pasku u szyi zwiisał mu pełnoklatkowy Canon z szerokokątnym obiektywem. W prawej ręce ścisnął drugi aparat, uzbrojony w długi, biało-szary obiektyw przypominający lunetę, którym łowił portrety.

Był pochmurny, ale ciepły lipcowy wieczór. Brak ostrego słońca ułatwiał pracę fotografowi, ozdabiając dodatkowo szerokie kandy malowniczymi segmentami obłoków. Na scenie pojawił się kolejny zespół, grający jako support przed Redemption. Szczerze mówiąc nazwa ta, pomimo określenia na wszechobecnych plakatach mianem największego odkrycia muzycznego roku, nie mówiła wiele nawet osobom pasjonującym się muzyką rockową. Mimo to trybuny były pełne. Tuż pod sceną młodzież skacząca rytmicznie w takt muzyki generowała ogromną chmurę pyłu, której nie powstydziliby się z pewnością uczestnicy Woodstocku.

Migawka aparatu otwierała się, wydając miłe dla ucha fotografa kliknięcia, niemal całkowicie zagłuszone przez głośną muzykę.

Lubił swoją pracę, chociaż zawsze miał nieodparte wrażenie, że tego typu reportaże dla lokalnej gazety były bardziej chałturą niż prawdziwą sztuką.

*

Dochodziła trzecia.

Szła szybko, na ile tylko pozwalały jej buty na wysokim obcasie. Obcisłe, czarne legginsy i prześwitująca bluzka podkreślały jej figurę, której nie powstydziliby się niejeden modelka.

Denerwowała się reakcją rodziców na jej późny powrót do domu. W komórce miała sześć nieodebranych połączeń od mamy, co dodatkowo potęgowało w niej niepokój. Pospieszenie przeżuwała dwie miętowe gumy, wierząc naiwnie, że dzięki temu nikt nie rozpozna w jej oddechu zapachu papierosów.

Pomimo że jedynym otaczającym ją dźwiękiem były odgłosy jej własnych obcasów, cały czas słyszała szum w głowie, którego powodem było spędzenie kilku godzin w bliskim otoczeniu ogromnej baterii głośników. Dodatkowo miała nieodparte wrażenie, że ktoś za nią idzie.

Dochodząc do promenady oświetlonej rzędem stylowych latarni, odetchnęła nieco z ulgą. Widziała, że na tym krótkim odcinku jest monitoring.

Przez moment wydawało się jej, że słyszy w pobliżu odgłos silnika samochodu, a tuż po nim czyjeś kroki. Nie była jednak

pewna, czy wspomniane dźwięki są realne, czy też te są wytworem jej wyobraźni.

Po chwili uświadomiła sobie, że naprawdę ktoś za nią idzie. Dostrzegła kątem oka jakąś męską sylwetkę, która z powodu strachu wydała jej się wręcz gigantycznych rozmiarów. Instynktownie przyspieszyła kroku, koślawie stawiając stopy ubrane w szpilki. Gdy usłyszała dochodzący zza jej pleców głośny oddech, serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej. Chciała się odwrócić ponownie, ale kiedy tylko lekko wygięła szyję, poczuła silne uderzenie w głowę.

Obraz przed oczami rozpląnął się. Upadła.

*

Aleksander nanosił poprawki w swojej najnowszej powieści zgodnie z sugestiami szwagierki, które otrzymał godzinę wcześniej w mailu. Zawsze doceniał jej subiektywizm i komentarze, niekiedy bardzo kąśliwe, na temat tworzonej przez siebie prozy.

Miał zapuszczoną brodę, szpiczasto przyciętą na dole, której było zdecydowanie bliżej do tej, którą nosił Sienkiewicz niż do spopularyzowanego przez współczesne pokolenia wizerunku drwała. Siedział w swojej pisarskiej grocie, czyli pracowni oddzielonej od reszty domu dźwiękoszczelnymi drzwiami. Okna miał pozamykane zewnętrznymi roletami, dzięki czemu w pomieszczeniu panowała ciemność, a jedynym źródłem światła był ekran komputera.

Po kilkudziesięciu minutach pracy otworzył drzwi swojej „dziupli” i ruszył w stronę kuchni, mijając żonę, oglądającą wiadomości w staromodnie urządzonym salonie. Dźwięk miała ustawiony tak głośno, że Aleksander kolejny raz powtarzał sobie w myślach, że to będzie wystarczający powód, aby pewnego dnia ją zamordować. Gdy wracał z pospiesznie zrobioną kanapką, jego uwagę przykuło wyświetlone na ekranie telewizora zdjęcie urodziwej, czarnowłosej kobiety.

„W dniu zaginięcia ubrana była w białą bluzę i czarne legginsy. Ktokolwiek widział zaginioną Darię Trysz, proszony jest o kontakt z policją. Śledczy analizują zapis kamer miejskiego monitoringu.

Niewykluczony jest motyw porwania.”

Wiadomość ta, jakby zahipnotyzowała Aleksandra. Odruchowo zacisnął pięści, ściskając przy tym trzymaną w dłoni kanapkę, po czym bez słowa wszedł do swojej „groty” i zamknął drzwi.

*

Na wieży ceglastej ratusza zegar pokazywał dziewiątą. Nad głównym wejściem powiewały cztery duże flagi. Podkomisarz Michał Wojtyniuk ubrany w elegancki, popielaty garnitur wszedł po niewielkich stopniach do środka budynku. Przywitał go zapach starych murów, kryjący w sobie niejedną małomiasteczkową tajemnicę. Ruszył szerokim korytarzem w kierunku starych schodów z drewnianymi poręczami.

Zanim przekroczył próg mieszczącego się na pierwszym piętrze biura asystentki burmistrza, poprawił ciasno zapięty krawat.

– Proszę wejść – powiedziała blond piękność, niechętnie odrywając wzrok od ekranu komputera. – Pan Piściułekiewicz pana oczekuje.

Antoni Piściułekiewicz, zwany potocznie przez janczarzan Krwawym Antkiem, był włodarzem miasta od przeszło dwudziestu lat. Swoją urzędową kadencję pełnił przez większą ilość kadencji niż prezydentura Władimira Putina. Wierząc plotkom wygrywał niezależnie od ilości głosów w wyborach. Sam często powtarzał pół żartem, pół serio, że nieważne kto i jak głosuje, tylko kto liczy głosy.

Zgarbiony, łysawy człowiek o długim, złamanym nosie przypominający sępa, miał w swoim spojrzeniu coś niepokojącego. Jego oczy przewiercały rozmówcę, sprawiając, że ten czuł się bezbronny i zakłopotany.

– Dzień dobry, panie burmistrzu – powiedział Wojtyniuk, siląc się na uśmiech.

– Dziękuję za szybkie przybycie – odparł bezemocjonalnie Piściułekiewicz. – Sprawa jest naprawdę poważna. Na jesień mamy wybory, a nam pod nosem dziewczyna ginie bez śladu! Jeśli nie znajdziemy sprawcy będziemy wszyscy udupieni! Proszę mnie

dobrze zrozumieć. W tej grze nie liczą się środki ani metody. Macie ode mnie zielone światło na wszystko! Możecie odstawiać szopki bez konsekwencji. To taka licencja na zabijanie poziom Janczary.

Podkomisarzowi nawet nie drgnęła powieka.

– Nie obchodzi mnie, jak to pan i pańska ekipa zrobicie – kontynuował burmistrz. – Porywacz ma być znaleziony. Żywy, martwy, postrzelony, a nawet w kawałkach. Jeśli będzie żywy, a nie przyzna się – sprawicie, aby się przyznał. Jeśli okaże się niewinny, a nie będziemy mieć lepszego kandydata to dla nas i opinii publicznej pozostanie winnym.

– No tak, a jeśli nikogo nie znajdziemy? – spytał Wojtyniuk i widząc wściekłe spojrzenie swojego rozmówcy, przełknął ślinę, szybko żałując wypowiedzianych słów.

– A jeśli nie znajdziecie nikogo, to osobiście pojedę do waszej komendy, gdzie jeszcze na dobre unosi się duch PRL-u i po prostu wyjebię pana i tego niedorozwiniętego komendanta Wiśniewskiego na zbity pysk!

W tym momencie do gabinetu wszedł Artur Obernicki, sekretarz i najbardziej zaufany człowiek burmistrza, który prywatnie był jego zięciem.

Łysy, trzydziestopięcioletni mężczyzna w pogniecionym garniturze szepnął Piściułekiewiczowi kilka słów na ucho.

– No i pięknie! – wrzasnął burmistrz. – Już zaczyna się interesować nami łódzka dochodzeniówka. Zastanawiają się, czy nie przysłać nam kogoś do pomocy. A jeśli ktoś zacznie węszyć, to może wywęszyć za dużo! A tego przecież nie chcemy, prawda, panie podkomisarzu?

Wojtyniuk przytaknął z obojętną miną. Kierując się do wyjścia, minął korpulentnego redaktora naczelnego dziennika „Nasze Janczary”, Cezarego Króla, który po szybkim zaanonsowaniu się u jasnowłosej asystentki wszedł do gabinetu burmistrza.

*

Emma była średniego wzrostu szatynką, o dużych zielonych oczach i wystających kościach policzkowych. Jej długie, proste

włosy opadały na ponadprzeciętnie bladą twarz, rozświetloną przez ekran laptopa.

Dwudziestodwujęciolatka była w trakcie przeglądania strony internetowej „Nasze Janczary” i zastanawiania się, kto w ogóle wymyślił tak kretyńską nazwę lokalnego serwisu, gdy jej uwagę przykuły zdjęcia z koncertu Redemption. Zamiast jednak zachwycić się kunsztem i reporterskim uchwyceniem klimatu, jej uwaga skupiła się na przedstawionych na nich osobach.

Gdy próbowała otworzyć zdjęcia na całym ekranie, pojawiły się tylko niewyraźne, pikselowate kształty, świadczące o niskiej rozdzielczości obrazu. Artykuł był podpisany przez autora, kryjącego się pod pseudonimem Albi.

Krótką randka z Google zaowocowała znalezieniem kontaktu do redakcji. Nie zastanawiając się długo, wybrała numer.

*

Cezary Król wtargnął do biurowca z takim impetem, jakby miał na sobie pas szahida, który za chwilę miał eksplodować. Pędził wzdłuż poźółkłego korytarza niczym tocząca się kula, szybko przebijając krótkimi nogami. Redaktorzy za plecami szeptali czasem, że łatwiej go przeskoczyć niż obejść, ale z pewnością nikt nie odważyłby powiedzieć mu tego w oczy.

Idąc wzdłuż open space’a nie silił się nawet, aby odpowiedzieć komukolwiek „dzień dobry”. Rzucił tylko oschle, że napiłby się kawy, na co największy redakcyjny lizus zareagował natychmiastową wycieczką w kierunku kuchni.

Król usiadł na skórzanym krześle schowanym za ogromnym, półokrągłym biurkiem. Chwycił telefon i wykręcił wewnętrzny numer Alicji Bilińskiej.

– Podejdz do mnie, Albi. Teraz!

Po trzydziestu sekundach na korytarzu rozległ się stukot obcasów. Do środka weszła drobna, jasnowłosa kobieta około trzydziestki. Delikatny makijaż maskował, nie do końca skutecznie, zmarszczki widoczne na jej twarzy. Miała na sobie elegancką, krótką spódnicę i długi żakiet. Wszystko w granatowym kolorze,

podobnie jak wysokie czółenka na obcasie. Całość dopełniały lśniące cieliste rajstopy, które po prostu uwielbiała nosić.

Pomimo tego, że Alicja nie miała twarzy ani wzrostu modelki, to jej figura była na tyle atrakcyjna, że przykuwała wzrok redakcyjnych kolegów. Wszystkich, prócz naczelnego!

– Alicjo – powiedział Cezary Król, a w jego głosie słychać było nie-naturalny, wręcz demoniczny spokój. – Właśnie wracam ze spotkania z burmistrzem. Jak się zapewne domyślasz, nie mam dobrych wieści.

– Chodzi o ten artykuł o zaginionej nastolatce?

Naczelny przytaknął milczeniem. Wpatrywał się w rozmówczynię swoimi małymi, głęboko osadzonymi oczami.

– Co z nim nie tak? Mój nauczyciel i mentor Gościcki, który nieraz uczył mnie pisania wspaniałych, co można napisać wprost wezwał mnie kiedyś do tego pokoju. Tak samo, jak ja wzywam ciebie teraz. Napisałem wówczas artykuł o brakach personalnych i wyposażeniowych policji. Myślałem, że jest to strzał w dziesiątkę.

Tymczasem, gdy nakład został wydrukowany, Gościcki został wezwany do przewodniczącego naszego lokalnego oddziału PZPR. Podobno nieźle się napocił, żeby utrzymać swoje stanowisko. Gdy wrócił, a ja siedziałem na twoim miejscu, powiedział mi wówczas taką historię. Gdy masz garaż, w którym nie ma kłódki i każdy może otworzyć drzwi, a stoi w nim samochód, w którego stacyjce są kluczyki – nie mówisz o tym wszystkim naokoło.

– Rozumiem – przytaknęła Alicja.

W tym momencie do gabinetu wszedł redakcyjny kolega z filiżanką kawy, którą postawił na biurku.

– Idź już – rozkazał szef, wymachując ręką w kierunku ciekawskiego redaktora. Dopiero gdy drzwi zostały ponownie zamknięte, powrócił do tematu. – Dlatego Alicjo, w swoim artykule nie wolno pisać ci takich sformułowań jak „policja jest bezsilna”, „ślad po niej zaginął” i tak dalej.

– Czyli powinnam napisać: „nad sprawą pracującą najwybitniejsi detektywi policyjni, dzięki czemu możemy wkrótce spodziewać się pozytywnego rozwiązania zagadki”.

– Dokładnie – przytaknął obojętnym tonem Król. Jego mina nie zdradzała, czy się cieszy, czy też może wścieka.

– Ale przecież to bzdura! Mam informatora w naszej komendzie i wiem, że nikt nie ma bladego pojęcia, gdzie i jak szukać tej dziewczyny.

– Alicjo, zastanów się co tak naprawdę jest bzdurą. Masz córeczkę, tak? Ile ma lat?

– Cztery.

– Masz męża, kredyt na mieszkanie. Pewnie co tydzień kupujesz nową parę butów i sukienkę. Powiem ci, że wystarczy jeden telefon i zamkną tą naszą tancbudę pełną redaktorów, bajkopisarzy, marzycieli i przydupasów. Powiedz mi, proszę, gdzie wtedy w Janczarach znajdziesz pracę ty, ja i cała nasza banda?

Alicja odeszła w milczeniu ze spuszczonego wzrokiem. Gotowało się w niej. Usiadła przy biurku i podświadomie zaczęła wycierać chusteczką małą plamkę brudu ze swoich błyszczących szpilek. Pedantyzm to było coś, co z jednej strony utrudniało jej życie, a z drugiej – działało niczym terapia uspokajająca.

Długopisy leżały na biurku idealnie równolegle do siebie. Ołówki starannie naostrzone wyglądały niczym z reklamy Stabilo albo Koh-i-noor. Tak samo było z ubraniem. Świadomość, że nie ma żadnej plamy czy zagniecenia, dodawała jej pewności siebie i stwarzała pewnego rodzaju uczucie komfortu.

Nagle zadzwonił telefon. W słuchawce pojawił się głos, który wydał się jej jakoś dziwnie znajomy.

– Mówi Emma Winnicka. Czy pani jest autorką artykułu o zaginionej Darii Trysz?

– Tak, a o co chodzi? – spytała Alicja, odruchowo notując numer, który wyświetlił jej się na ekranie stacjonarnego telefonu.

– Być może będę mogła pomóc w odnalezieniu tej dziewczyny. Potrzebuję jednak zdjęcia z koncertu w dużo wyższej rozdzielczości.

– Hm... – Chrząknęła zaskoczona Alicja. – Niestety nie dysponujemy lepszymi niż te, zamieszczone na naszej stronie

internetowej. Generalnie nie mamy redakcyjnego fotografa, posiłkujemy się materiałami od zaprzyjaźnionych czytelników oraz freelancerami. Jeśli pani chce, podam kontakt do firmy, która sprzedała nam te zdjęcia.

*

Emma zanotowała nazwę, po czym wpisała ją w wyszukiwarkę internetową. Po szybkim rekonesansie miała już pełne dane jednoosobowej firmy. Nie wahając się ani chwili, wybrała numer telefonu.

– Dzień dobry, z tej strony Emma Winnicka. Chciałam umówić się na foto sesję.

*

Daria odzyskała przytomność. Leżała na zimnej, betonowej podłodze. Nic nie widziała, ponieważ na głowie miała założony materiałowy worek, zawiązany ciasno na szyi. Próbowwała go zdjąć, ale natychmiast zorientowała się, że jej ręce są skute kajdankami, przymocowanymi do czegoś metalowego. Próbowwała wstać i oswobodzić się, ale pozycja, w której została unieruchomiona całkowicie to uniemożliwiała. Bolały ją niemal wszystkie mięśnie, ale przeszywający strach niemal całkowicie ten ból niwelował. Teraz nic się nie liczyło. Chciała tylko przeżyć.